

Autor: Monika Maciejczyk

Roslana Boże – nieboże

Nie miał jej kto przytulić i w 50 – tym roku życia odkryła alkohol. I wszystko co ze sobą niesie. Poczucie sytości i bezpieczeństwa, spokój, dobry sen. A przy tym i jak zdawało się jej dobre życie, gdzie troski umykały gdzieś po kątach, a miejsce ich wypełniała wesołość i zwykła ludzka życzliwość. A świat uśmiechał się i uśmiechał prawie codziennie. Wystarczyło tylko, no właśnie... Tak odkryła alkohol. A później został jej największym przyjacielem. Przytulał ją co noc. Okrywał, ogrzewał. Rozlewał ciepło i utulał do snu, jak małą dziewczynkę. O, wielki przyjaciel i jedyny. Nie wiedziała jednak, że największy przyjaciel może z czasem przemienić się we wroga. I tak też się stało.

Roslana częściej peregrynacje po okolicy robiła w pijanym widzie, niż po trzeźwemu. A to dlatego, że jak otrzeźwiała, wstydziła się niepomierne. A i ludzie zapomnieć nie dawali. Niby to wszyscy wierzący byli i bogobojni, ale widocznie tych słów nie znali, albo i zapomnieli. Co to niby jak bez grzechu jesteś i taki czysty, to pierwszy rzuć kamieniem. A może i tacy byli, bo kamienie w jej stronę leciały bez przerwy. I to nie tylko te prawdziwe, gdzieś zza stodoły, czy opłotków, ale te najcięższe, co najbardziej bolały. Słowa, słowa, słowa jako te kamienie wyrzucane z gniewem i pogardą. A one sprawiały największy ból. Na tą to okoliczność Roslana pijaniutka chodziła, bo wtenczas było jej naprawdę wszystko jedno. Myśli zmieniały tory, tak jak to łatwo można przełączyć kanał w telewizorze i już świat caluśki inaczej się kręcił. Całkiem wesoło. I nic to, że rozczochrana była i brudna, że oczko w rajstopie poleciało, a druga zwałkowała się na tydce. Nic, że płaszcz z tyłu był dłuższy, z przodu krótszy, beret się przekrzywił i pasek gdzieś zgubiła. Nic to. Bo szła wtedy wypita, jak jakaś królowa wielka, pewnie i odważnie, a wszystko w koło do niej należało. Nawet to ją nieraz na psoty i krotchwile zbierało. Tak ci to cudownie było. Gorzej się działo jak wódka się skończyła. Żebrać musiała. Nie jeść, nie płacić komornego, ni światła. W piecu nie palić, zimno w chałupie mieć. Ale oddawała wszystko, by choć na chwilę wrócić do rajku i znów poczuć się królową. Tylko ten pieroński komornik nie dawał zapomnieć o tym bożym świecie. Ściągał ją ten diabeł jak cień.

I na co komu takie życie? Przeniosła by się już biedaczyna na tamten świat mówiła Gilgameszowa. A Jan odpowiadał niezmiennie – nie nam ci to sądzić. Każden jeden – żono ma ci na tym świecie swoje pięć minut i nigdy nie wiadomo, kto i kiedy świętym zostanie. Bo jak to mówią człek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Niezbadane są Jego wyroki, a też i drogi Jego. Jako ją tu trzyma, to znaczy się jest potrzebna i tyle. Uszanować trzeba i pamiętać, że to też czyjeś dziecko było. A wiesz dawniej, starzy ludzie mówili, że w każdym

człeku chodzącym po ziemi Pan jest i jakaś Jego okruszyna. I mówiąc to Jan co i raz zerkał przez zaparowaną szybę, za okno na dwór, czy to aby drogą jakiś potrzebujący nie idzie i swoich ciężkich trosk nie niesie. A już według Gilgamesza ci co się słabo na nogach trzymali, to te troski mieli najcięższe. Takie nie do udźwignięcia. Jak kogoś takiego zoczył, to i zaraz za próg wychodził, a rozpytywał, a nigdy nie nachalnie. Jako ten ojciec wszystkim zrodzony, dobry i łagodny. Ciepła dał zawsze i otuchy. Nigdy nie zganił, chleba z miodem dał, a i jabłko z sadu i na koniec wielkie, pożywne dobre słowo – co życie niejednemu uratowało. No i nic Gilgameszowa poradzić na to nie mogła, że wszystko tu lazło, lgnęło jako do pieca w zimie. Cały ten ludzki rozbitek życiowy i ten pokaleczony świat, co go nikt nie chciał, a wypluł, wyrzucił. To wszystko do Gilgameszów zawijało, choćby na chwilę. Jak łódki do portu przed burzą.

Co się kto na górkę Gilgameszową zapędził, to z pełnymi rękami wracał, chociaż nic nie niósł. I tak lżej się robiło na duszy wszystkim porąbańcom tego świata. I co według Gilgameszowej najgorszym było, że mąż szczególnie pobrażał pijanicom wszelakim. Jako to rzekł kiedyś do żony na usprawiedliwienie swoje. Człek to najstabsze i najmizerniejsze zwierzątko tego świata. Ni zębów wielkich nie ma, ni pazurów ostrych by bronić się, ni skrzydeł by uciec. Jeno rozum ma wielki, co za wszystko starczyć musi. A tym biedakom i to zostało zabrane. A to co w tej zapitej łepetynie zostało, to na nic, jak to Rosjanie mówią – nie chwatit. To i widzisz ty bezbronne to całkiem niebożęta są i litość ty zawsze dla nich miej. Kobieta rozebrać nie potrafiła jak to może być, żeby samemu się uchlać wódą w drabiazgi, a później litości i opieki wymagać, jako to ta mizeria świata. Ale nic nie gadała, bo co tu z chłopem gadać, jak on i tak wie lepiej, bo filozof i już. Potakiwała więc w milczeniu głową i gotowała na kuchni rosół, od czego to szyby coraz to bardziej zaparowane były i Gilgamesz, żeby wyrzeć, rękawem przecierać co i raz musiał swój widok na świat.

*/ Monika Maciejczyk /*